

Kapela Surdyka

Agnieszka Duczmal, laureatka ogólnopolskich i zagranicznych konkursów dyrygenckich, założycielka radiowej orkiestry „Amadeus” na pytanie, skąd wzięły się u niej te zainteresowania, może odpowiedzieć jednym słowem: ojciec!

Ale jej ojciec Henryk Duczmal na to samo pytanie nie mógł podobnie odrzec. Matka, owszem, lubiła śpiewać – lecz po amatorsku. Amatorem był również stryj, u którego



Henryk Duczmal

jako chłopiec uczył się gry na skrzypcach. Wielu istniało takich miłośników muzyki w Krotoszynie, rodzinnym mieście przyszłego artysty. Sprzyjała temu ogólna atmosfera: na występy przyjeżdżała tu regularnie Opera Poznańska pod kierownictwem Zygmunta Wojciechowskiego. Jakżeż w chłopięcą pamięć – jak wspominał – wryło się pierwsze oglądane przedstawienie *Pajaców!*

W Krotoszynie obok wojskowej orkiestry dętej systematycznie koncertowała stała orkiestra symfoniczna, na której utrzymaniełożył obowiązkowo cały korpus oficerski...

Kiedy więc Henryk Duczmal otrzymał w roku 1927 świadectwo maturalne Państwowego Gimnazjum Klasycznego – zdecydował się bez chwili namysłu na studia muzyczne. Ale była to sprawa bardzo kosztowna. Rozpoczął przeto pracę w Zarządzie Miejskim i jednocześnie grał w założonym przez siebie zespole, występującym w miejscowym kinie, aby uciąć nieco grosza na zamierzone studia. Po rocznym kursie nauczycielskim, gdzie zresztą też założył własny zespół, mógł wreszcie zdobyć indeks studenta Wydziału Psychologiczno-Pedagogicznego Uniwersytetu Poznańskiego. Jednocześnie uczył się w tutejszym Konserwatorium.

Jego kwalifikacje – dyplom muzyka uzyskany w roku 1934 z wynikiem bardzo dobrym! – pozwoliły mu objąć posadę nauczyciela śpiewu i muzyki w poznańskich szkołach.

Wysiedlony przez hitlerowców na Kielecczynę – za tajne nauczanie został uwięziony w obozach w Seelow i Dabendorf...

Nasza stolikowa znajomość z Kantaka – z Klubu Związku Zawodowego Pracowników Kultury – i ze „Smakosza” zamieniła się w przyjaźń, gdy w czasie jednego z tournée koncertowego Chóru Kurczewskiego po Niemczech odwiedziłem wraz z nim właśnie te miejscowości. On zaś zrobił wraz ze mną wypad do Güstrow w Meklenburgii, gdzie mój ojciec Adam przez pięć i pół roku był więziony w Stalagu II C jako jeńiec, polski żołnierz Września 1939...

Natychmiast po wyzwoleniu Henryk Duczmal przyjechał do Poznania, lecz nie miał gdzie zamieszkać. Musiał powrócić do rodzinnego Krotoszyna. Jego pobyt w tym mieście – aż do roku 1949 – pozostawił trwałe ślady w kulturze tamtego regionu. Był bowiem nie tylko nauczycielem śpiewu i założycielem kilku zespołów chóralnych i muzycznych – pełnił również funkcję kierownika Referatu Kultury i Sztuki, zanim został dyrektorem stworzonej przez siebie Miejskiej Szkoły Umuzyczniającej, pozostając aż do swojego wyjazdu członkiem Powiatowej Rady Narodowej.

Ucząc harmonii i instrumentoznawstwa w Państwowej Szkole Muzycznej w Poznaniu i później także w Szkole Baletowej, przystąpił w roku 1950 do współorganizowania Wielkopolskiej Symfonicznej Orkiestry Objazdowej, zostając jej dyrektorem. Potrafił to stanowisko świetnie godzić z kierowaniem Redakcją Muzyczną Rozgłośni Poznańskiej. Wtedy właśnie założył słynną Kapelę Wojciecha Surdyka: taki sobie upodobał ludowy pseudonim! Nagrał z tą kapelą ponad 250 opracowanych przez siebie melodii wielkopolskich. Weszły na trwałe do skarbicy tutejszego folkloru.

Następne lata, począwszy od pamiętnego roku 1956, wiązały Henryka Duczmala z kilkoma kolejnymi instytucjami Poznania. Kierowano go tam, aby nadał im odpowiednio wysoką rangę artystyczną. Przez dwa lata był dyrektorem „Estrady”, następnie, do roku 1962 kierował Operetką Poznańską, potem objął stanowisko zastępcy dyrektora Opery Poznańskiej, aby wreszcie powrócić do szkolnictwa. Aż do emerytury w roku 1970 – przez sześć lat był dyrektorem Państwowej Szkoły Muzycznej im. H. Wieniawskiego.

*Dyrektor Opery
Poznańskiej – Zdzisław
Górzyński i Henryk
Duczmal zamieniają się
dla żartu swoimi
kapeluszami, aby sobie
unaocznic, czyja głowa
jest większa!*



W tym czasie orkiestra szkolna osiągnęła taki poziom, że zaczęła wyjeżdżać również na zagraniczne występy!

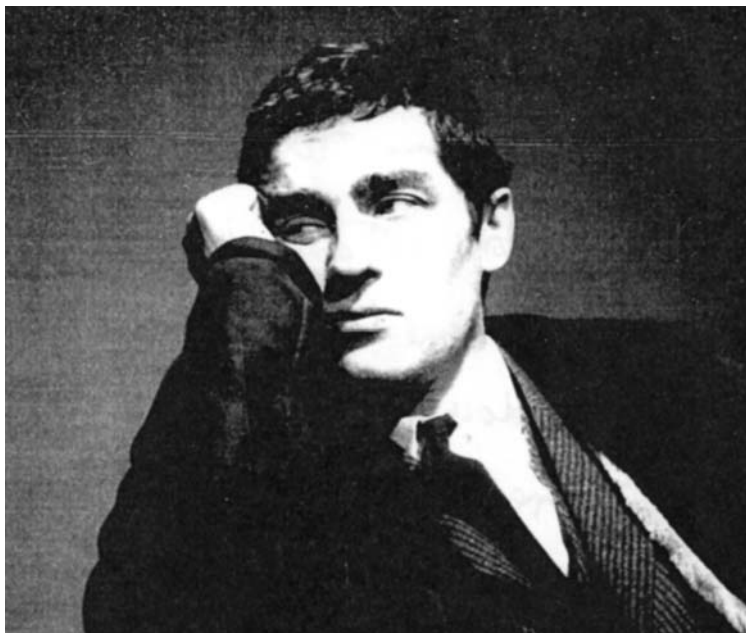
Przeglądając dorobek artystyczny tego muzyka, trudno wręcz doliczyć się jego audycji, opracowań chóralnych i instrumentalnych, wykładów oraz podejmowanych inicjatyw.

W pewnym sensie obrazują te dokonania – liczne nagrody i odznaczenia: Zasłużony Działacz Kultury, Odznaka Honorowa Miasta Poznania, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złota Odznaka Honorowa z Laurem Zjednoczenia Polskich Zespołów Chóralnych i Instrumentalnych. I, rzadkość, medal za wybitną działalność artystyczną, przyznany przez niemieckie miasto Dahme.

Nie nazywam się Ryś!

Dyrektor Bronisław Dąbrowski opowiadał, że w czasie majowych rozmów przedsezonowych z aktorami, z którymi teatry wtedy się rozstają albo ich angażują – z Jeleniej Góry przyjechała w roku 1946 do Teatru Starego w Krakowie para Zofia Rysiówna i Adam Hanuszkiewicz.

Najpierw zaprosił do swojego gabinetu aktorkę. Rozmowa się przeciągała. Kiedy wreszcie poprosił czekającego w sekretariacie aktora – ten wszedł poirytowany i na powitanie oznajmił:



Adam Hanuszkiewicz jako najmłodszy wtedy w Europie „Hamlet”

– Najpierw chciałem powiedzieć, że nie nazywam się Ryś, jestem Adam Hanuszkiewicz!

Urodził się we Lwowie w roku 1924. Uczył się od roku 1945 w Szkole Dramatycznej w Rzeszowie, gdzie też grał, zanim wyjechał do Jeleniej Góry i zdał rok później egzamin eksternistyczny w Państwowej Wyższej Szkole Aktorskiej w Łodzi. Dyplom reżyserski uzyskał w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie, gdzie wcześniej w sezonach 1949–52 występował w stołecznym Teatrze Rozmaitości – zanim na pięć lat osiadł w Poznaniu!

Kiedy w roku 1957 organizowałem ogólnopolski I Poznański Listopad Poetycki, podczas maratonu, w którym każdy autor przedstawiał się na scenie Teatru Polskiego recytacją jednego ze swoich wierszy – pierwszą część tej imprezy wypełnili właśnie Zofia Rysiówna i Adam Hanuszkiewicz, prezentując swoją interpretację cyklu poetyckiego *Plejady* Jarosława Iwaszkiewicza.

Adam Hanuszkiewicz pojawił się ponownie w Poznaniu w 1970 roku, przywożąc z Warszawy na gościnne występy kierowany przez niego Teatr Narodowy z *Kordianem* Juliusza Słowackiego...

Rzecz zdumiewająca: wielkie dzieło poezji narodowej staje się jak gdyby utworem, napisanym w obcym języku! Tak obrasta w uczone komentarze, takie narzuca mu się ukryte związki z różnymi wydarzeniami w ojczyźnie i na świecie, tak grzęźnie w faktach historycznych i legendach, że staje się niezrozumiałe. Wymaga tłumacza!

A tłumacze bywają rozmaici. Rzemieślnicy i twórcy. Jedni z morderczą pedanterią tłumaczą słowo po słowie –

drudzy pozornie odstępują od tekstu, żeby właśnie jak najwierniej przekazać istotę utworu: wielkość myśli i jego piękno. Adam Hanuszkiewicz należy do wspaniałych tłumaczy naszych narodowych dramatów poetyckich.

Tylko taką inscenizacją *Kordiana* można ocalić dzieło Juliusza Słowackiego przed szkolnymi udrękami: co poeta chciał przez to powiedzieć? Sprawą zupełnie osobistą reżysera staje się fakt takiego czy innego zrozumienia przez niego tekstu – pozostaje jeden jedyny stosunek: publiczności do gotowego dzieła. Podobnie nie obchodzi widza tekst scenariusza, gdy patrzy na film. Szczególnie, gdy ogląda film znakomity.

Spektakl zaś *Kordiana* tak właśnie trzeba określić. Logiczna budowa akcji scenicznej, szybkie jej tempo, bogactwo efektów widowiskowych i muzycznych wciągają bez reszty widownię. Pozwalają łatwo przedrzeć się poprzez metaforę dziejów Konrada – romantycznego lekkoducha, rewolucjonisty i mesjanistycznego skazańca. Tym łatwiej, że wiele sytuacji nawiązuje wprost do współczesności. Począwszy od pięknej muzyki Andrzeja Kurylewicza, intymnych zbliżeń kochanków, a na wielu rekwizytach kończąc...

Najwymyślniejsze narzędzia tortur nie zrobiłyby tak silnego wrażenia jak światła owych latarek, które zawsze mieli przy sobie gestapowcy, gdy nagle wpadali nocą do mieszkań. Symbolika tych skaczących smug światła zmienia się. Podobnie wieloraką znaczeniowo jest w tym przedstawieniu drabina. Niby na obrazach Jacka Malczewskiego – na niej i wokół niej roją się romantyczne i przerażające zwidy!

Bliskie są nam także, wypunktowane w warszawskim spektaklu, doświadczenia polityczne i filozoficzne *Kordiana*. Ów wstrząs, gdy papież, który uosabia racje moralne, opowiada się za prześladowaniami, przeciwko zwyciężonym. I te egzystencjalne rozterki, szukanie odpowiedzi na pytanie: po co, schodząc ze świata, ślad wieczny zostawiać, skoro życie jest tutaj i tylko tutaj?

Regułem współczesnego myślenia podporządkowano

również aktorstwo. Żaden gest, żadne słowo nie budzą protestu, że są fałszywe. Nie tylko Andrzej Nardeli, który tak celnie kreuje Kordiana, jest świadectwem owej dbałości o prawdę, która w jego przypadku oznacza, że bohater dramatu Juliusza Słowackiego był istotnie młodziutki. Każdy epizod prawdzie jest podobny. Ale też od czołowych ról aż po epizody, wszystkie są obsadzone przez aktorów o głośnych nazwiskach. W tym przez wielu znanych dobrze ze scen poznańskich...

W toczących się sporach wokół realizacji *Kordiana* przez Adama Hanuszkiewicza – opowiadam się zdecydowanie po stronie reżysera. Czyż nawet budzący różne zastrzeżenia, lecz żywy Kordian nie jest bliższy nam niż najwspanialej wyglądająca jego mumia? Potwierdziła to zresztą publiczność poznańska: wspaniała owację zgotowała wykonawcom!

Po tym przedstawieniu umówiłem się z Adamem Hanuszkiewiczem, że przyjadę do Warszawy, aby zrobić z nim wywiad dla mojej rubryki *Bliscy Znajomi* w „Gazecie Poznańskiej”. Przyjechałem bez zapowiedzi: ze sceny znosili akurat skrytobójczo zamordowanego władcę Szkocji Duncana...

Po rozcharakteryzowaniu się dyrektor Teatru Narodowego pędził samochodem wraz ze mną do założonego przez siebie Teatru Małego, aby wystąpić w roli Kreona w *Antygonie*, przetłumaczonej dla niego przez Stanisława Hebanowskiego. Całe zaś przedpołudnie prowadził próbę *Rewizora* Gogola, po której zdążył udzielić wywiadu, przeprowadzić rozmowę ze Stefanem Bratkowskim na temat nowego scenariusza teatralnego, przejrzeć dyrektorską korespondencję, załatwić kilkanaście z zanotowanych przez sekretarkę rozmów telefonicznych.

– Cóż za kondycja! Uprawia pan jakiś sport dla utrzymania tak imponującej kondycji fizycznej?

– Najtrudniejszy: teatr! Kiedy ze sto razy przebiegnę w tę i z powrotem po schodkach na scenę, z krzesła reżyserskiego do aktorów, to żadna już inna forma zaprawy nie jest potrzebna.

– Co było powodem zaangażowania się w roku 1950 akurat do Poznania?

– Grałem w warszawskim Teatrze Rozmaitości Zbigniewa w *Mazepie*. Po przedstawieniu przyszedł do mnie kierownik literacki Wilama Horzyca, despotyczny gawędziarz Józef Maśliński, do 4 rana trzymał mnie za guzik, nie dopuszczając do głosu, a kiedy wreszcie udało mi się rzec, iż późno, muszę już iść – zapytał: jeszcze jedno, o jakiej roli pan marzy? Nigdy nie marzyłem o żadnej, jednej roli, i aby się jak najszybciej rozstać, wymieniłem tę, która mi pierwsza przyszła do głowy – Hamlet...

Kiedy Tadeusz Białoszczyński, zaprzyjaźniony z Horzycą jeszcze z czasów lwowskich, z jakichś powodów nie mógł wystąpić, wówczas Maśliński powiedział, że jest młody, „zdolny aktor” i w dodatku „marzy, aby zagrać Hamleta”. Nazajutrz Horzyca przyjechał, aby mnie zaangażować do Poznania. Potem okazało się, że Białoszczyński jednak zgodził się grać. Horzyca powiedział wtedy:

– Panie Adamie, mam zobowiązania wobec pana, dotrzymam słowa, choćbym nawet (!) tydzień miał z panem próbować, zagra pan Hamleta!

Miałem zaledwie 5 prób po 4 godziny i 2 listopada 1950 roku pierwszy raz wystąpiłem w tej roli: na popołudniówce dla młodzieży. Drugi raz – 21 listopada, bez żadnej już próby! Dla człowieka, który zna choć trochę teatr jasne jest, co musiał przeżywać aktor w takiej sytuacji. Właśnie Horzyca nauczył mnie szybkich prób – podobny rytm jest obecnie i w Teatrze Narodowym, przedstawienie przygotowuje się nie dłużej niż 5–6 tygodni. Hamleta zagrałem znów po 10 latach, w warszawskim Teatrze Powszechnym, a po 10 następnych latach reżyserowałem ten dramat Szekspira z Danielem Olbrychskim w roli tytułowej.

– Wtedy, w roku 1950, pisano, że był pan najmłodszym Hamletem w Europie, postać królewicza duńskiego na trwałe związała się z pana nazwiskiem. Lubi pan, oczywiście, tę rolę?

– Nie bardzo. Wolę to, co robię w *Norwidzie* czy *Beniowskim*, lubię Kreona w *Antygonie*.

– Nie poznańskie przeto dokonania...

– Pobyt w Poznaniu miał decydujące dla mnie znaczenie. W Poznaniu nauczyłem się aktorstwa. Pierwszy raz prowadziłem sam swój własny program, jako konferansjer w *Siódmych potach* na scenie Teatru Satyryków, debiutowałem jako reżyser, inscenizując *Niespokojną starość*. Gdy po powrocie z Poznania do Warszawy – wystąpiłem w ciągu 2 lat zaledwie w 2 epizodach, odszedłem z teatru i od roku 1957 aż do 1963 – stąd nazwa „Studio 63” – kierowałem artystycznie telewizją, jako naczelny reżyser. Sądzę, że najbardziej telewizyjnymi są formy poetyckie i publicystyczne – przypomnę tu *Pana Tadeusza*, *Opowieści mojej żony*, teksty Prusa, Boya...

– W jakim języku prowadzi pan próby w Finlandii, będąc od 5 lat reżyserem teatru w Helsinkach?

– Nie znam, oczywiście, fińskiego. Rozmawiam z aktorami po niemiecku i po francusku. Ale mogę bez trudu pilnować gry aktorskiej, ponieważ egzemplarz reżyserski



Adam Hanuszkiewicz – zdjęcie z roku 2007